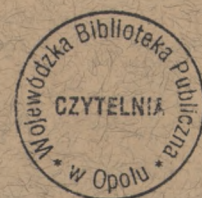


**S
Z
K
O
L
N
E**

**MIĘDZYGIMNAZJALNE
CZASOPISMO**

*Kolekcja
Emilia Kornasia*



K R A K Ó W

M A J 1935

ROK III. Nr. 3 (15).



C Z A S Y

Wszystkie lektury szkolne i naukowe (filozofja,
pedagogika, historia, literatura, monografie itd.)
powieści, poezje, dramaty znajdziecie w największej

Wypożyczalni Książek w Czytelni Naukowej i Beletrystycznej

ulica św. Jana 1. 8.

Ucząca się młodzież bez kaucji.

P. T. KOLEŻANKI I KOLEDZY!

**PAMIĘTAJCIE ŻE NAJLEPSZE
PIERNIKI MIODOWE**

SĄ U FIRMY

ROK ZAŁ. 1879

ROK ZAŁ. 1879

ANTONI ROTHE
KRAKÓW, UL. SŁAWKOWSKA 20.

**METRY
MIARY**



**PIONY
PRYZMY**

Z. ZIEMBICKI
Kraków, Pl. Marjański 2
Telefon 125-91
ŻĄDAJCIE CENNIKÓW



W domu
i podróży
nigdy bez
przeźroczystego

pióra wiecznego
Felikan
nabytego w firmie
Z. ZIEMBICKI
Kraków, Pl. Marjański 2

Precyzyjne reparacje.
Cenniki na żądanie

SZKOLNE CZASY

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKÓŁ ŚREDNICH

TREŚĆ NUMERU:

Pierwszy Marszałek Józef Piłsudski życie zakończył 12. V. 1935 r. — Jerzy K. — Myśli, refleksje — J. Lesner. — Wielki dzień smutku — Andrzej Jurasz. — Podzwonne — Bolesław Kruczkowski. — Czarne słowa w ulice! — Tato-Kej! — Victor — T. Walicki. — Popatrzmy na wskazówki zegara! — Sokołowski Stefan. — 11. VII. — 24. VII. 1935 — Grzegorz Bukowiecki. — Poezja, której nam trzeba! — Walaciński Zygmunt. — Młodzi piszą — Jerzy Porębski, Wacław Józefowski, Jerzy Kałamacki, Hołuj Tadeusz. — Walka o pokój — T. Gimn. IV. — Stały ład — J. K. — Około Laureata — T. Ulewicz. — Feljeton prasowy. — Dziś on jutro ja! — J. Juszczyk. — Z konkursu. — Kosz redakcyjny.

Pierwszy Marszałek Józef Piłsudski życie zakończył 12. V. 1935.

Odwróciła się karta. Złotymi literami ryta karta historii. Karta powstałej z gruzów Polski. Na spodzie żałobnymi głoskami wryte słowo „koniec“.

Ten, kto pisał, kto porwał naród i pchnął go do czynu, szalenie z początku — utopista; — Ten kto potem z żelazną konsekwencją ową utopję wprowadzał w czyn, odszedł. Odszedł tam, skąd się już nie wraca.

Pamiętam z mego dzieciństwa jego przejazd przez ulice Krakowa z wozem armij sprzymierzonych. Pamiętam rozkrzyczane — rozwiatowane tłumy zalegające ulice — i okrzyk: Piłsudski, Piłsudski! Pamiętam Jego — jak z uśmiechem na groźnej, marsowej twarzy przyjmował wiwaty.

Nad miastem powiewają czarne chorągwie. Ulice zaległa wielka cisza. On odszedł.

Przed gmachem Oleandrów płonące pochodnie rzucają blade światło na twarze zgromadzonych. Tłum trwa w milczeniu. Czasem jakieś westchnienie — czy słowo wypowiedziane półgłosem przecina ciszę.

To jest Jego dom — tłumaczy jakaś dziewczynka drugiej. Wyraz „Jego“ ma brzmienie dziwne uroczyste — dostojne.

Na akademjach czci się pamięć Zmarłego chwilą milczenia. Czemże uczymy Go my — tu — na łamach pism.

Śmierć — i mimowoli powstaje pytanie: dlaczego — dlaczego teraz. Marszałek był człowiekiem legendy. Dokonał Czynu. Był mężem opatrznościowym w dziejach Polski powojennej.

I odszedł — w Legendę.

W ciszy auli padają twarde słowa „orędzia do narodu“: „Marszałek Piłsudski życie zakończył“. W auli cisza — jak nigdy — w niektórych oczach wielkie dziecinne łzy.

Wstydzimy się tych łez — i zarazem czujemy, że w takiej chwili jak ta wolno płakać — i trzeba.

I czujemy, że w piersiach pod granatowymi mundurkami biją serca przejęte ważnością chwili i świadome swej misji życiowej.

Jeszcze Polska!...

Jerzy K.

Myśli, refleksje...

Od chwili, kiedy oczy nie wierzyły literom i słowom układającym się w jakiś nieprawdopodobny w swym zgrzycie obraz, minął dzień i więcej. Pozostał fakt oddziaływujący przemożną siłą smutku...

Ciekawem jest, że postacię wielkich ludzi — mocarnych genjuszów twórczych zlewają się z pojęciem tego, co wytworzyli. Wokół ich osoby po-

jeszcze rozdział historii Polski... Epopeja bohaterstwa krwi i pracy. Reprezentował ją genjusz energii i żelaznej woli a przytem romantyk. Bo był romantykiem człowiek porywający się na rzeczy na pozór niemożliwe, które w jego rękach stawały się... faktami.

Był szczęśliwszym od swego wielkiego poprzednika w kierownictwie nawy państwa, Stefana Ba-

Urodzony
dnia 5 grudnia 1867
w Żuławie.



Zmarł
dnia 12 maja 1935
w Warszawie.

wstaje mit nieuchwytny wiążący twórcę z jego dziełem nierozdzielnie.

Dlatego śmierć Józefa Piłsudskiego zdawała nam się niemożliwą...

Polska jest mocarstwem, silnem, żywotnem, jakżeby więc On... W chwili szczytowej realizacji swych planów przeprowadzanych z żelazną konsekwencją, odszedł, ale jako zwycięzca.

Był mężem opatrnościowym, bo przetrwał do chwili, w której przez pracę lat mógł widzieć państwo polskie silne od zewnątrz i wewnątrz bardziej, niż kiedykolwiek.

Słowami twardemi i ostremi, które raniły biegnąc po falach eteru, czy wyzierając z czarnej obwódki mokrych jeszcze od farby drukarskiej płacht dodatków nadzwyczajnych, zakończył się jeden

torego. Potrafił wolą i uporem rozumu przeprowadzić przebudowę ustroju państwa... Usunąć zarodki zguby.

— — — — —
Młodzież nie umie rozczulać się i załamywać rąk. Młodzież patrzy i uznaje fakty takie, jakimi one są naprawdę. Józef Piłsudski nie tylko stworzył Polskę, lecz potrafił jej zapewnić stanowisko mocarstwa. Ale wielcy ludzie — mężowie opatrnościowi, pojawiają się nader rzadko.

Zapisanie nowych kart historii Polski należy do młodego pokolenia. Uczynimy to drogą, jaką On nam wskazał: wspólnym wysiłkiem woli i pracy. Testament Marszałka dla pokoleń przyszłych jest przede wszystkim nowa Konstytucja. Ona wskaże nam drogę w przyszłej pracy dla państwa.

J. Lesner.

Wielki dzień smutku...

Dzwony biły żałobnie a wraz z nimi biły serca wszystkich Polaków w kraju i zagranicą.

W dniu 18 maja oddała Polska — Wawelowi pod straż drogie Zwłoki Swego Pierwszego Marszałka Józefa Piłsudskiego.



Laweta ze zwłokami Wodza.

Kraków, spowity w żałobę, przecięty był na dwie połowy czarną wstęgą, która znaczyła ostatnią drogę tego Rycerza Niezlomnego, odchodzącego na spoczynek wieczny.

Niezliczone tysięczne tłumy, które towarzyszyły Mu w tym pochodzie, szły w skupieniu, cicho i karnie, przygniecione i tak stroskane. Żegnały Swojego Wodza.

Na lawecie zaprzężonej w 6 karych koni wysoko umieszczona była trumna przykryta sztandarem białoczerwonym — ku tej trumnie biegły spojrzenia wszystkich.

Jechały doczesne szczątki Wielkiego Człowieka, któremu hołd oddała cała Polska i cały Świat. Wielki Duch Józefa Piłsudskiego jest już na błękitnych polach, gdzie Go powitała Matka Jego, którą tak kochał i tacy bliscy Sercu Jego Druhowie z walk o niepodległość Polski. Wszedł w niebieskie hufce Pierwszy Żołnierz Rzeczypospolitej a na szarej ziemi ubył Wielki Wódz.

Całe życie był Pan Marszałek na służbie Ojczyźnie, Jej poświęcił Swe siły, myśli i serce, a teraz odszedł srodze utrudzony i spracowany.

Kochał wojsko i młodzież, jedno i drugie wychowywał przykładem Swoim. Przed trumną Jego tyle wojska prezentowało broń, lecz już nie oddał im ukłonu, — tyle młodzieży przeżyło się na baczność, lecz już nie uśmiechnął się do niej.

Marszałek śpi zamyślony o dziejach Polski i Jej historii, o tem co przeszło i co jest jeszcze przed Nią. Śpi tak spokojnie, bo wie, że tak wysoko postawił sztandar Polski i tak uniósł, że cała Europa i Świat cały uznać i liczyć się z nim musi. Śpi tak spokojnie, bo wierzy, że tyle jest polskiej młodzieży, wychowanej w Wielkiej Idei, że potrafią wywalczony sztandar utrzymać.

I spoczął na Wawelu wśród hetmanów i królów polskich i przychodzić tam będą pokolenia za pokoleniami, by składać hołd ceniom Wielkiego Męża, Najdzielniejszego Rycerza, Sprawiedliwego Człowieka i Wodza Narodu.

I będą kształcić ducha swego i uczyć się duszą całą, jak żyć i pracować dla Polski, by być godnym Wielkiej Tradycji. — I będą czuwać, bo im tak kazano.



Gwardja rumuńska.

A na Sowińcu urośnie Kopiec usypany dłońmi dzieci i dorosłych, kobiet i mężczyzn, jako zdala widoczny znak pamięci i wdzięczności całego Narodu.

Andrzej Jurasz
Klasa IIA, Gimnazjum VIII.

PODZWONNE.

Myśmy widzieli...

Przed oczyma przesuwają się milczące ostatnie dziejowe godziny.

Szary majowy ranek.

Nad głowami rozpięta chmurna chwila ciszy wyczekującej.



Przedstawiciele państw obcych.

Z wyniosłości marjackiej wieżycy spłynął na głowy czarny welon.

Żal.

Zalopotał gwałtownie u żałobnych skrzydeł chorągwi — wzniosł się, jak wezbrane w piersi ludzkiej westchnienie — i opadł.

Jakąż dziwną moc krzepiącą posiada w sobie smutek, rozelkany w przestrzeni rozedrganej majestatyczną muzyką dzwonów, przyzywającą z od dali Człowieka! Gdy z wież kościelnych, co jak błagalnie wyciągnięte ręce wznoszą ku niebu ludzkości rozelkany ton, rozebrzmia poważne dźwięki — to porywają one serca w swój rytm i kołyszą gdzieś ku Niebu, ku Temu, który Jego na nieśmiertelności wyniósł tron. Wtedy jakaś korna modlitwa bez słów wykwiła na ustach, a po ciele przebiega tysiące dreszczów — tysiące zbudzonych husarskich, szumiących jak polonez słów. „Dla Ciebie Polsko“.

Przed oczyma, jakby za lekką, białą mgłą sunęły sztandary. Biel, czerwień, amarant i czerń. Kir. Żałoba.

Szczękały sucho o ziemię podkowy konnicy, wstrząsały ziemią głucho koła armat — miarowym raz-dwa, raz-dwa wybijały takt krzepkie nogi piechoty.

Przeszli.

Zachrobotał, przerznął jak drewniana piła ciszą śmiertelny werbel.

Zgruchotana małość i w proch rozsypana.

Zazgrzytało w sercu lute uczucie i zakamieniało w ukryciu.

A potem zieleń legła na przerażenia mogile, a różnokolorowa tęcza kwiatów oplotła wieńcami dusze.

Spokój i Wieczność purpurą i fioletem duchownych w mitrach odprowadzi tę myśl ku Bogu.

Czerń żałobną kapą okryła wszystko. Mróz potwornymi szponami wpił się w rozdygotane kości.

Śmierć?...

Nie. Uśpione jestestwo podniosło całą mocą brutalny, barbarzyński protest.

Ktoś szepnął na ucho, jakby z zaświata — Jedzie!

Wyniosłe, ponad stłoczone głowy tłumów, na lawecie polowego działu zwolna toczyła się pokryta sztandarem trumna.

To On!!!

A ponad wszystkim siwa, zniszczona maciejówka — szabla i buława, którą nam hetmanił. Symbol. Wskrzeszone przed oczyma prawdziwe misterjum belwederskiej władzy i niestrudzonego czuwania.



Premier Sławek

Pochyliły się kornie głowy przygniecione powagą chwili w pokłonie głębokim. Cisza — tylko hen w zamglonych wyżynach srebrzyste kwilenie hejnału — tylko na kamieniach bruku dudnią głucho armatnie koła.

Coś zatargało w głębi, coś wstało i krzyknęło w głos całą pełnią piersi młodych i zdrowych: Wodzu, wszak Ty! Tobie młodzież...

Reszta w formę nieujętych myśli cofnęła się w głębię minionych lat. Rok 1914.

Sierpniowa bladość wstającego świtu. Na błoniach krakowskich mała garstka ludzi. Półmrok pozwala rozeznaczyć siność ich mundurów wojskowych. Przed znieruchomiałym na głos komendy frontem staje On. Czyta stanowczym, bezwzględnym niemal głosem pamiętny tekst rozkazu z 6 sierpnia 1914 r.

...Wam przypadnie ten zaszczyt...

Komu? Kto to był, ta mała garstka w ów ranek sierpniowy na równinie podwawelskiego błonia — do której On mówił — Żołnierze!



Attachées wojskowi

To była Kadrówka — to były Polskie Legjony — to była Młodzież!

Na głowie Komendanta wstająca jutrzienka ciemno znaczyła okrągłą sylwetkę maciejówki — jak ta, co dzisiaj na trumnie Jego leżała.

Wodzu — wszak Ty byłeś Komendantem młodzieży!

Duma i uniesienie wezbrały naszemi pierśmi.

Dzisiaj.

Oto Duma kroczyła za trumną Twoją — o Wielki! Ci, właśnie, te postacie z krakowskich Oleandrów — one to sprawiły, że za Twemi szczątkami ze czcią postępowała skłócona Europa, to młodzież, ci, którzy byli naszymi poprzednikami musieli tak walczyć dzielnie, obalać kordony zaborcze, przełamywać i budzić uśpionego Ducha w Narodzie — że oto dzisiaj kroczą za Tobą realne, widome znaki naszego niezależnego bytu państwowego i naszej potęgi — Prezydent, Rząd, Sejm, Senat, Akademje i rzesze społeczeństwa.

Umiałeś Wodzu prowadzić młodzież, a ona, jak nikt inny umiała być Tobie posłuszną. Odszedłeś od nas na zawsze...

Żal szorstką dłońią zakręcił w oczach wpatrzonych w smutny korowód. W uszach zaszumiał plusk miliona spadających kropli łez, oddech znieruchomiał i zamarł w bezruchu, w bezpamięci jak długa pauza przy końcu Symfonji patetycznej. Odszedł On...

W wyobraźni rozwarła się pustka. Gdzie on, gdzie są ci, którzy przed chwilą tak wspaniale ze szczękiem oręża postępowali naprzód — aż tam, gdzie Go królom na towarzysza oddadzą?

Wzrok szukał — aż znalazł. Długi, stalowo-szaro-zielony wąż sunął dalej w blasku migocącego żelastwa.

Tylko na grzbietach rumaków ognistych siedzieli już nie ci dawni, przed chwilą widziani szwoleżerowie, nie ułani, nie artylerzyści — stąpali naprzód nieugiętym krokiem nie piechury — lecz my, młodzież, w zwartym ordynku, przybrani w mundury wojskowe, szliśmy żegnać Tego — który nami dowodził — Bohatera. Grała w nas jakaś muzyka przeogromna — jakiś zespół niezliczonych instrumentów — uczucia układały się w jakąś niebosiężną symfonię.

Eroika — Eroika — Eroika.

Milcząca Eroika matowych hełmów, twarzy jakby z granitu wykutych i wzroku sępiego, wierzącego jakby świdrem djamentowym w skałę nieznaną, niezgłębioną przyszłości.

Eroika rycerskiej żałoby, smutku potęgującego poczucie siły w nas żywych.

Eroika spełnionych snów o Niepodległości!

Purpura i laur Sławy ścielącej się w głębi królewskiej krypty na wawelskim Panteonie.

Nieśmiertelność!!!

A ponad głowami wiatr kołysał żalem — w rytm rozkołysanego, z obertyńskich dział utoczonego Zygmunta, któremu lamentem wtórowały nasze grające serca szopenowskim, nieśmiertelnym marszem żałoby. Grały i jęczały wszystkie dzwony.

Odszedłeś...

Lecz siła młodzieńczych, sprężystych mięśni niosła nas dalej. Nie w takt śmiertelnego werbla — lecz w takt stąpającej piechoty, szarej, mundurowej piechoty idącej zdobywać!

Dokąd — poco?...

Pękł łoskot jeden, potem drugi, trzeci — dziesiąty — sto pierwszy.

Coś runęło i zawaliło się z hukiem. Lecz co?

Bladość i przejęcie na twarzach. Lecz odpowiedzieć nikt nie umiał. Lecz w przebrzmiałości

ciszy dał się słyszeć wyraźny głos potężny, niebo-
siężny, głos wołający:

Naprzód wy młodzi! To dla was ten znak.

Szliśmy, nie zatrzymując się wcale.

Raz-dwa raz-dwa.

Miarowy, marszowy chrzęst tysięcy nóg.

Idziemy tak dalej i pójdziemy póki sił i mło-
dości starczy. Przepojeni w mięśniach siłą zdro-
wia, mężni w piersi zaczerpniętem powietrzem bo-

haterstwa — podążymy ku Nowej Polsce już na-
szej.

Wiodła nas będzie promienna postać Ducha
Wodza Narodu — tego, który ongiś pierwszą
Kadrówkę do boju prowadził. Już nie do boju
pójdziemy krwawego — ale do bezkrwawej wal-
ki o nowe, słoneczne Jutro Pokoju, Potęgi i Spra-
wiedliwości. By mogła grać Eroika radości i życia
dla wszystkich.

Bolesław Kruczkowski.

CZARNE SŁOWA W ULICE!

*Czerń z białą tańczą marsza w synkopowej muzyce.
Śmiech, wargi, wargi — słowa ścielące się pod nogi.
w rytmu zachwycie
ubogim.*

*Biel od czerni odpęka świstkiem papieru
muzyka gaśnie jak płomień ludziom stojącym
w ulicy.*

.....
*Niemiedzącym obywatelom
liter ciemnica!
... Wyczekiwanie bruku
na tętent
na huk.*

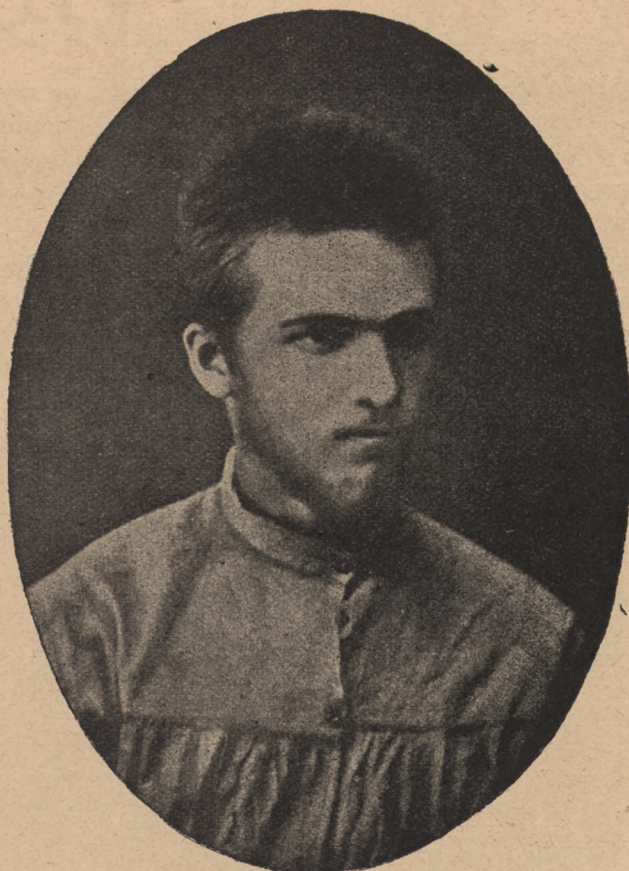
*W ulicach spowitych kirami żaloby...
...lampy toczą lzy światła w dzień przybrany krepą
szloch spizorowy zawisnął w rozdźwiękach Zygmunta
i okna oświetlone, w dal patrzące ślepo...
Ostatnia rewja Wodza, na lawecie działa...
Chmury rozpaczą zwisły w strop kasetonowy,
a w sercu krzywdą rwie się długotłumnym buntem.
I tylko trumna, ciemno stercząca jak skała,...
I ból się rozkołysał jękami Zygmunta...*

.....
*Zniszczona maciejówka szara, jak dzień chmurny,
na skrzyżowaniu szabli z buławą. —
Odszedłeś
myśl w bezwiedzy skryła się koturny
z lęku przed pogrzebową, rozplakaną Sławą.*

Taho-Kej.



Lata młodzięcze



Sybirak Piłsudski

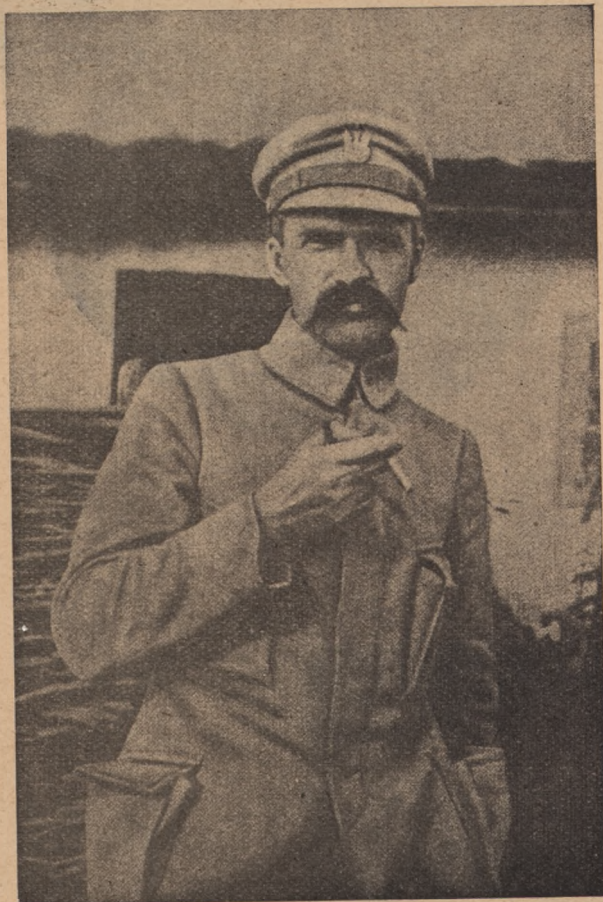


Powrót z Magdeburga

VICTOR.

Było to w latach przedwojennych, gdy po rozbiciu rewolucji r. 1905, Józef Piłsudski przeniósł się z Królestwa na stałe do Galicji, by tu znów uparcie i nieustępliwie budowę Ojczyzny od podstaw zaczynać.

Wówczas już jako Sybirak, sterany więzieniem i życiem konspiracyjnym, opromieniony był jakąś glorią, gdyż bił od niego majestat niespożytej siły, wyciągającej swe skrzydła do lotu.



W okopach

Od podstaw, od fundamentów wznosić to, co wprzód zburzyć wypadało i wtedy kłaść nowy kamień węgielny na nieznane jeszcze, a pracę siłą faktu formy państwowe — oto, czego jał się ten człowiek niepozorny i nieznany Polsce, gdy we Lwowie swój warsztat zakładał. I wiedział, że nie tylko z obcymi walczyć mu wypadnie, ale ze swoimi: z narodem, tak zżyty z pętami niewoli, że nie czuje jej, że dobrze mu było w obcych formach państwowości.

I ów niepozorny, małomówny wygnaniec, prześiadujący często całe popołudnia w skromnej ka-

wiarni przy ul. Szajnochy, ignorowany przez sfery polskie oficjalne; przez polskie społeczeństwo, na którego nazwisko niechętnie wzruszano ramionami, wyrósł jakoś niepostrzeżenie na barkach młodzieży polskiej, która ideję i myśl Komendanta zrozumiała.

Lata 1912, 1913, 1914 — to lata największej, intensywnej pracy, gdy trzeba było walczyć słowem i piórem, by przekonać, że socjalizm był ową falą, któraby nas, coprawda, z innymi narodami w wieczność rozwoju poniosła — ale jako kaleki. Więc aby P o l s k o ś ć nie stała się znakiem opóźnienia w dziejach ludzkości, trzeba było odrazu i szczerze przyjąć socjalizm i jak manną niebieską obdzielić nim rzesze. I tu stały na zawadzie stare, nieugięte twierdze dawnych ustrojów. Ale by socjalizm nie był w Polsce tem, czem się stał w Rosji — kalectwem i trądem narodu — trzeba było przewidzieć niebezpieczeństwo bolszewizmu i w dojrzałych poglądach socjalizmu zastrzec miejsce świeżej młodości, w którym dojrzalaby prawomocna p o l s k o ś ć trudu.

Tej tak prostej, a tak niesłychanie trudnej do przeprowadzenia rzeczy jał się Józef Piłsudski we Lwowie, w latach przedwojennych, gdy wygłaszając odczyty, pisząc krytyki, był już komendantem drużyn strzeleckich.

Victor — zwyciężał wówczas, gdy w proch rozpadały się przed nim zaśnieżone doktryny, gdy na kongresie partii robotniczej tłum drżał przed nim, jak przed kimś, kto w imię najwyższego prawa rozkazuje.

Grał w szachy w cichej, małej kawiarni, gdzie widzieć go mogli wszyscy — a w myślach przygotowywał plany wojennej kampanji i rozmowy toczył z zaufanymi.

Jednych przeznaczenie wyniosło wysoko, drudzy cicho szarą przędzę historii urabiali.

I w owych latach po raz pierwszy młodzież, skupiona w kilku stowarzyszeniach, przejęła to hasło cudowne: ideologii Ojczyzny. Otworły się oczy, niebojące się już p r a w d y, przed którą pękały bańki mydlane błyskotliwych mówców.

O rozmaitych porach roku wyprowadzał Piłsudski swe oddziały poza miasto, gdzie odbywały się manewry — takie prawdziwe, z karabinami, aż serce rwało, a budziła się wiara w zwycięstwo.

I wówczas już bezgranicznie ukochała Go młodzież i z niezachwianą ufnością poddała się Jego rozkazom, wierna Mu po wsze czasy.

T. Walicki.

Popatrzmy na wskazówki zegara!

Gdyby ktoś chciał z tego feljetonu wyłowić choćby iskrę wesołości, ten zawiedzie się już po przeczytaniu pierwszego słowa, bo jest on czarnym powleczoneym kirem. Kto więc nosi w sercu radość, ten niech nie stąpa drogą, którą ja idę, by nie zaszedł w kraj, gdzie ulice spowite są smutkiem, gdzie jęczą dzwony, a dusza miasta płacze.

Do mnie zlećcie się wy, którzy macie serce obmyte łzami!!!

że jest ono zimnem i lakonicznem stwierdzeniem całego procesu, który odbywa się we mnie, przy określeniu samego zgonu.

Nie jestem prasą do wyciskania łez, ani sączkiem, przez który mógłbym przelać do duszy czytającego swoje łezki wykrystalizowane, odmierzone jak w aptece, czy na czułem posiedzeniu u miłego, a bogatego wujaszka. Stwierdzam fakt, który już w samym sobie jest okropny i bolesny.



Marszałek Piłsudski przyjmuje rewję wojska 11 listopada 1926 r.

Ból nie jest straszny przez to, że my stwierdzamy jaki on jest, ale przez samą swoją istotę. W słowie „ból“ drga cały kompleks czegoś nieokreślonego, miękkiego jak puch, koronkowego jak mgła, a równocześnie coś wrzącego szalonym żarem, coś grzmiącego tysiącami piorunów, tryskającego lawą rozpalonych złotych iskier i żrącego jak najsilniejszy kwas. A równocześnie kojarzy się z tem wielkie, niesamowite widmo smutku i całe morze ścichłych, dostojnych łez.

Jeżeli wymawiam słowo: „śmierć“, to wiem,

Marszałek Józef Piłsudski nie żyje!

Powiewają żałobne chorągwie. Wszelkie widowiska są zamknięte, na każdym prawie ramieniu widzimy czarną opaskę. Na ulicach dużo zapłakanych twarzy. Nikt nie chce wierzyć, — ponieważ jest to takie nieogarnięte, takie straszne...

A jednak stało się.

Nie będę tłumaczył dlaczego to jest straszne, nie będę wyluszczał Jego zasług, nie będę mówił, że On był genjuszem, nie będę wyciągał nawierzech

Jego roli dziejowej — powiedzieli to za mnie inni ludzie, — obwieści to Historia.

Pamiętam — widziałem raz „Dziadka“ na błoniach. Policjanci powstrzymywali huczący tłum.

On stał wielki na tle błękitu i złota.

I nagle w jednym miejscu pękła czarna linja i lud biegł do Niego. Wszystkie usta krzyczały: „Niech żyje! Niech żyje!“...

Potem dzień się odmienił. Niebo było szare, wplecione w czarną obwódkę miasta. Po obu stronach ulic zielone mundury, za nimi mnóstwo ludzi. Niektórzy powychodzili na dachy, w oknach ponure twarze...

Czarne, jak noc, konie ciągnęły lawetę, a na niej spoczywała trumna z Jego ciałem. A ktoś szlochał tak głośno...

Nie mogę dalej pisać, choć właściwie wiem, że nie napisałem jeszcze nic o tem, o czem powinienem napisać. Czuję, że moje słowa i myśli byłyby czarniejsze, od najczarniejszej farby drukar-

skiej. A przecież mamy wiosnę! Na plantach kwitną bzy i pachną tak ślicznie, — ale i smutek pachnie cudnie. Powietrze jest złożone z długich szpiczastych sopel. Błyszczą, jak kryształ. To pewnie łzy...

...kiedy dusza płacze, wówczas wszystko lka. Wtedy martwe sprzęty stoją smutne, kwiaty wędną, niebo leje łzy. Bo wielka jest siła łzy — i tajemnicza. Łza jest potężna, a równocześnie słodka. Potęgę jej czujemy nie rozumem, nie myślą, lecz sercem, — i sercem wysyłamy tajny rozkaz kwiatom, sprzętom, niebu, aby były smutne... I kochamy łzę...

Kochałem śmiech, zdrowy, serdeczny i uczciwy, ale zniewolił mnie smutek. Bo jak cieszyć się w domu, w którym czuwa wieczność?

Królewska łza miała wielką duszę... Może ktoś napisze o wiosnie, rozkwitłych, pachnących bzach i cichym kryształowym smutku.

Sokołowski Stefan

11. VII. — 24. VII. 1935.

Co to za daty? Zapytasz czytelniku. Co może być dla nas ciekawego w czasie wakacyj?

Spytaj o to harcerza, on ci odpowie, bo dla niego te daty są ważne, one wryły piętno na jego obecnym życiu.

W roku 1935 harcerstwo polskie obchodzi jubileusz ćwierćwiecza swego istnienia. W ciągu tych 25 lat kształciło się i wychowywało pod sztandarami lilji wiele setek młodzieży polskiej. Porwani duchem scoutingu hartowali swą duszę i ciało do wielkiego wyczynu jakim jest bezwątpienia przejście przez ścieżkę życia, jako jednostka pożyteczna.

Władze naczelne Z. H. P. (Związek harcerstwa polskiego) chcąc zbadać jakie wyniki dało doświadczenie tych 25 lat w pracy, czy drogi którymi dąży, systemy którymi się kieruje są dobre, postanowiły urządzić coś w rodzaju egzaminu dla całego harcerstwa polskiego.

Z okazji jubileuszu odbędzie się w lipcu br. wielki zlot słowiański.

Protektorat nad Zlotem przyjęli: pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski¹⁾ i pan Prezydent I. Mościcki, który w dowód uznania dla Z. H. P. i przez sympatię dla niego udzielił swej letniej rezydencji Spały na teren Zlotu.

Na zlot przybędą drużyny z całej Polski, zjawi się większość harcerstwa emigracyjnego a oprócz

tego reprezentacje obcych narodów w dość pokaźnych liczbach, np.: 300 Węgrów, 200 Czechów, 80 Rumunów, 50 Anglików i t. d.

Ogółem organizatorzy spodziewają się przybycia około 30 tysięcy braci harcerskiej.

Teren Zlotu jest b. ciekawy. Obozy rozmieszczone będą w puszczy sosnowej nad Pilicą, na polankach lub w rzadkim drzewostanie. Nad przygotowaniem miejsca pracują harcerskie drużyny robotnicze, które pod kierunkiem fachowców budują drogi, zakładają wodociągi i kanalizację.

Tereny obozów przedzielone są Pilicą na dwie części, po jednej będą harcerki, po drugiej harcerze. Obozy męskie i żeńskie podzielone będą znowu na pod-oboz, z których każdy będzie posiadał swój magazyn żywnościowy, lekarza, posterunek policji harcerskiej i t. p.

W czasie Zlotu odbędzie się wielki „bieg harcerski“, w którym weźmie udział około 300 zastępów i dwudniowa wycieczka w okolice Spały. Każda z drużyn przygotowuje jakiś pokaz, z którym wystąpi na arenie, przy ognisku lub w teatrze zlotowym.

Celem poznania się i życia członków zlotu zorganizowano turniej: „szukajmy się na Zlocie“, który polega na tem, że podzielono uczestników zlotu na szczepy np. „Okularników“. Szczepy te odznaczać się będą specjalnymi odznakami, np.: okularami. Członkowie tych samych szczepów bę-

¹⁾ Artykuł był pisany przed śmiercią ś. p. Marszałka. Po tragicznym ciosie, osoby protektorów ulegną zmianie.

dą się poszukiwali wzajemnie, celem zawarcia znajomości. Kto pozna najwięcej członków swego szczepu zostanie jego „mistrzem”.

Ciekawostką będzie obóz byłych harcerzy i K. P. H.; spotkać tam będzie można Druhów z siwymi brodami, przechadzających się w towarzystwie

swych wnucząt, które przyjechały na Złot z Zuchami.

Niestety nie da się więcej zamieścić w ramach krótkiego artykułu. Ciekawych odsyłam do artykułów w pismach harcerskich: „Na Tropie”, „Skaut” i t. p. Czuwaj!

Grzegorz Bukowiecki.

Poezja, której nam trzeba!

(artykuł dyskusyjny).

Zazwyczaj w tem miejscu umieszcza się w tego rodzaju artykułach pozgonne obecnego stanu rzeczy, przeraźliwie troszczy się podstawami współczesności. — Ja zacznę trochę inaczej. Przejdę mimo artykułów społecznych, biadań i lamentów.

Wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazują na nadejście nowej epoki.

Podstawą każdej epoki jest jej kultura. Wyrazicielem zaś jej jest przedewszystkiem literatura i poezja. Czasy zmieniają się, ale pieśni i poezja nie przemijają. Poezja i pieśni porywały masy do walk zbrojnych, utrzymywały ludzi w pełni prężności fizycznej i psychicznej w chwilach przełomowych.

Rola poezji to przedewszystkiem wzywanie do czynów, do postępu.

POEZJA TO AWANGARDA ŻYCIA.

To jej główne zadanie.

Niestety piętno wyczerpującej swe soki kultury wycisnęło się i na poezji współczesnej. Hasła wyżycia się i użycia przestawiły zwrotnicę poezji na ślepy tor megalomanji poetyckiej i dzikiej konkurencji w redakcjach płacących po 15 groszy od wiersza.

Zamiast artyzmu i wzniosłej misji pieśni bojowej — rzemiosło.

Kultura współczesna egiptologii i innych — „logji” na wyższych uczelniach, a brak jest szkół powszechnych po wsiach.

Wydaje się monumentalne arcydzieła, a wieś cierpi na głód książki i gazety.

Głód, głód i poezja. Bo na wsi jest głód, prawdziwy głód.

Głód chleba i soli i pisanego słowa.

Trzeba te rzeczy połączyć i stworzyć poezję czynu, poezję woli, nowego życia.

Tu wylania się zagadnienie poezji chłopskiej i robotniczej.

Dotychczasowa poezja o wsi — to poezja fujarek, wierzb, zachodu słońca, zadumy, ckiwe marzenia i chorobliwe majaczenia — poezja tak obca wsi. — Trzeba stworzyć nową poezję wsi. Poezję nowej kultury, poezję, która ziści marzenia młodzieży wiejskiej i miejskiej, da im książkę do ręki i możliwość nauki.

Poezję czynu wiejskiego — spółdzielni wiejskich, maszyn rolniczych, sieci szkół, czyteln i domów ludowych — poezję postępu.

Poezję opartą na dobrze zrozumianym podglebiu kultury, jaką powinna być masa chłopska w Polsce. Poezję — najszerzych mas, w których pulsuje tętno życia, zapалу i energii tworzenia.

— — — — —
Kol. Witwicka, kol. Kałamacki, Świerzu, Zawadzki — czy nie tak?...

Walaciński Zygmunt
gimn. Nowodworskiego.

MŁODZI PISZĄ.

(Aleksiej Bezoriskij).

DWIE BAJKI.

- Ot staruszka babulina
Usiadła na progu —
- Chłopaczyskom i dziewczynom
Baśń plecie. — O Bogu. —
- A ot bajka się skończyła,
Bo i brakło treści —
„Już tak długo wam mówiłam
Niechże to łeb zmieści“.
- A chłopczyska i dziewczyny
Poznać chciały życie —
- Siedzą wokół babuliny
Poziwając skrycie. —
 - Obstały dzieci kołem
Chłopaka co gada —
 - Rozkrzyczane i wesole
Jak bogów plejada.
 - Bajka twarzą w krew się wplata,
Poważniej twarze —
„Poruszymy bryłę świata
Gdy się dzień ukaże“.
 - A dziewczyny i chłopczyska
Zaciskają dłonie —
 - Mknie szept jeden. — Chwila bliska
A świat darono płonie. —

Z rosyjskiego przełożył
Jerzy Porębski
gimn. IV.

*
* *

Stłumiony szmer oddechów
płynie aleją cieniów
Śpiące miasta,
senny kraj
Dachy drzemią.
Jedyna gwiazda
w kominów gaj,
paręży kryształ uśmiechu.
Hej.....
Iskry
złote, czerwone
iskry!
Lecą strofami jak wiersze
dyszające żyłami na skroniach
kiedyż płomień rozbłyśnie pierzasty?
Tak się spalasz w męczarniach
człowieku
a pożarem buchnąć nie możesz.

Wacław Józefowski.

PIJANA WIOSNA.

W promieniu słońca, ni to, w złocistej gondoli,
pomknąć jasnym obłokiem w zabłąkane tęczę...
myśl jak plenną pszenicę w niebios wysiać roli,
i świat zakuć w uśmiechu gwiaździste obręcze...
Wędruję po strumienia błyskliwej drożynie,
co srebrem czarnoziem splamila kobierce,



zda mi się, że to błękit roztopiony płynie,
i w radosnych kaskadach spada w moje serce.

Chwycić chcę krawędź słońca rękami obiema,
spić się ciemnego złota prastarym Vermutem,
i stać się nie człowiekiem, lecz zimnacnym skrótem
słowa co znaczy, szczęście, a którego nie ma.....

Jerzy Kalamacki.

Hołuj Tadeusz.

DOM.

Rosłość linii pionowej człowieka pomniejsza
nakreślony dom w obłok
zbudowany oczyma.

Wkopaniem głębokim, muru mytrykiem
pnie się. — Płaszczyznami depce łuk
od oczu się odgina
wysokim upięciem: robot
kładzeniem cegieł jest: Jutro.

Z cyklu „Wakacje“.

ZACHÓD.

Słabły promienie na łąkach i chatach
(poeta
począł pisać o leśnych aromatach)
a strzecha
wyzbywszy się złota
szarością drżała.
I potem
gdy ogień zagął w niebieskim piecu
Ktoś przez wieś przeczłapał
i rzekł mi: dobry wieczór!

Walka o pokój.

Najbliższa przyszłość Europy nie przedstawia się różowo i horyzont jest bardzo przyciemniony, a roz pogodzenie jest sprawą bardzo ważną. Od tego zależy bowiem los naszej wielowiekowej kultury i istnienie zasadniczych momentów regulujących nasze życie społeczne. — Słowem chodzi o utrzymanie pokoju! Rzeczy, której pragnąć powinien, zdawałoby się każdy normalny człowiek, zastanowiwszy się spokojnie bez mydlenia mu oczu choćby przez chwilę. Ale ten spokój nie jest mu dany. — Oprócz różnych zwarjowanych koncepcyj ustrojowych, które przed puszczeniem ich na szerszą arenę powinny być spokojnie i z naukowym obiektywizmem skontrolowane i przedyskutowane w czterech ścianach laboratorium, przyczynia się też znakomicie do utrzymywania mas w psychopatycznym napięciu, błędne koło dyplomacji europejskiej. — Już nietylko szary człowiek nie może się w tym galimatjasie zorjentować, ale też i „karmazyn“ XX wieku; inteligent nietylko, że przestał się wyznawać w sytuacji ale zdezorjentowany nie wie komu sekundować i kto jest wichrzycielem uniemożliwiającym normalne stosunki. Lwiej części tego zamieszania winni są dzisiejsi sternicy skołatanego i rozpaczliwie szukającego spokojnej przystani okrętu Europy. Dyplomacja dzisiejsza robi wrażenie jakby przestała już panować nad sytuacją i straciła głowę. Europa jest rozbita na gwałtownie zwalczające się (na razie drogą protestów dyplomatycznych) obozy. Poza niemi stoi jednak kraj, który gdyby chciał mógłby swoją zdecydowaną postawą uratować jeszcze pokój światowy. Tym krajem, który unika określenia jasno swego stanowiska i nie chce postawić kropki nad i jest Anglja. Albowiem o ile

chodzi o politykę zagraniczną panuje wśród tamtejszej opinii publicznej poważna różnica zapatrywań. Pokutują tam bowiem liczne zdania żądające niewtrącania się Anglji do spraw wewnętrzno-europejskich, a przymykające świadomie oczy na fakt, że Anglja nawet geograficznie jest przedłużeniem Europy, nie mówiąc już o licznych więzach kulturalnych i politycznych, które w miarę wieków stają się coraz to trwalszemi. Dlatego też ministrowie spraw zagranicznych czy to Henderson, czy Simon bez względu na ich przekonania polityczne musieli stale oscylować między tymi dwoma punktami widzenia. Po oświadczeniu filo-francuskim, dla uratowania zakłóconej równowagi, ogłaszano oświadczenia pro-niemieckie, mające uspokoić zdenerwowanych zwolenników „Splendid isolation“. Ci ostatni zostali nagle obudzeni brutalnym szturchańcem przez nietaktowne Niemcy. Dano im do zrozumienia, że hegemonja morska Anglji należy do przeszłości i że już nie chodzi o obronę granic Francji, Polski czy Sowie-tów, lecz w grę wchodzi najbardziej żywotne interesy ich ojczyzny. Marzenia prysły a sielanka została przerwana... Opinia angielska przerażona zbrojeniami niemieckimi zareagowała niezwłocznie stanowczo i ostro i stanęła zdecydowanie po stronie zwolenników pokoju. Może ta ewolucja otworzy oczy wahającym się jeszcze niektórym państwom na to, że po jednej stronie są osamotnione nieliczne kraje, a po drugiej wszystkie niemal państwa niezarażone bakcyłem odwetu, a dopiero po całkowitem uzgodnieniu taktyki wśród członków bloku „pokojuowego“ uda się uniknąć wojny. A gra jest warta świeczki...

T. Gimn. IV.

J. K.

STAŁY ŁĄD.

Lubił przechodzić ulicami — i czuć się częścią pulsującego wszystkimi arterjami miasta. Ale dziś zaszedł dalej! Tam, gdzie światło latarń ginie roz-błyskiem postokroć załamany w rozdartych brukach i gdzie pod domami snują się ludzie-cienie.

A tylko rozjaśnione niebo gdzieś dalej przypomina że t a m panuje życie.

Tam błyszczą łuna nad miastem.

Bruk kładł się powoli pod zmęczone stopy. Powietrze wilgniało świeżością.

Nagle domy rozbiegły się nabok i z wielkiej, ciemnej wyrwy dobiegła zapachem wiosna i szum drzew. — Park.

Zatrzymał się niezdeterminowany.

Chciał dzisiaj wczuć się w bezmyślne mury, w rozpiętą sieć szyn; chciał przeniknąć, co kryje

się pod rozgwarem zalegającym ulice i co rozbłysła widoczną zdaleka luną. Chciał pojąć miasto. Dziś.

Ukryta myśl — samobójstwo — wychynęła ciekawie jakby badając grunt. W kieszeni telepała dwudziestogroszówka — ostatnia. Był zdecydowany. Ale przedtem chciał z r o z u m i e ć.

Przed nim był rów. Było tak ciemno, że ledwie rozróżniał słaby zarys drugiego brzegu. Determinacyjny skok — i szedł dalej. Asocjacja — ale on nie będzie skakał w nieznana przyszłość. Jego droga — ma być zdecydowana i konsekwentna. A że jej nie znalazł — więc... kończy.

Zapachniała wiosna. Dawnym — dziecinnym ruchem zdarł czapkę i odrzucił głowę wtył. Owionął go zapach. Kryształowy wiosenny i cudny. Włosy poddały się pod wiatr.

Usiadł na jakiejś ławce. Był w porządku z sobą. Wiedział że jest jednostką niepotrzebną. Czy miał znów gonić od biura do biura — do znajomych, witających z poniżającym pseudoszacunkiem zdeklaszowanego inteligenta i — błagać.

Błagać — gdy wnętrzości targa groźny bunt. Skończyć!

Urobił sobie dawno pogląd na samobójstwo. Wmówił w siebie że nie jest tchórzem. Jego postępek będzie logiczną wypadkową zdarzeń. Większym bohaterstwem jest zmusić się do śmierci — niż t a k walczyć. Więc jeszcze ten wieczór. Nie miał wprost sił walczyć dalej. I tak czuł że w ostatniej chwili będzie się musiał zdobyć na wysilek. A o tyle milej byłoby zapadać powoli i cicho w Nieznane.

Nad miastem błyszczała luna.

Ławka przyjęła miękko zmęczone ciało. I cały brak woli uosobił się w jednym. Nie miał siły wstać.

Za nim — pachniały drzewa. Noc owinęła ci cho przedmieście — park i człowieka. White płytko w bezmiar świata błyszczały gwiazdy jakoś dziwnie dziś dobre i bliskie.

Głęboko — tajemniczo szumiał gaj.

Jak wyczarowane nastrojem spłynęły tony skrzypiec. Beznogi kaleka grał. Grał „humoreskę” Dworzaka.

I pod takt melodji wysnuły się wolno niedostrzegalnie obrazy przeszłości. Obrazy wyrwane z poszczególnych rozdziałów; niezgrane — niezharmonizowane z sobą — a jednak płynące w dziwnym rytmie wraz z pieśnią.

Dzieciństwo. Niedzielnny wieczór przy fortepianie; on sam w domu. Na firankach kładły się ostrożnie czerwone płyty zachodzącego słońca. Uliczny gwar zniknął. Czas rozpadł się na ułamki i dzwonił w uszach. W załamach biblioteki czały się wyolbrzymione cienie. Strach.

Wtedy siadł przy fortepianie. Z pod dziecinnych palców spłynęła pierwsza pieśń.

Słońce gasiło gorejące płachty we framugach okien. Struny rozbrzmiewały raz silniej raz słabiej posłuszne nakazowi palców.

A przy fortepianie rozmarzył się dzieciak i szeroko rozwartymi, ufnymi oczyma spoglądał w nadchodzący mrok.

Drugi obraz — wycieczka.

Zmęczone stopy wybijają rytm marszu. Daleko na widnokręgu rysowały się Tatry.

Pieśń. Młodzieńcze piersi wciągają ożywczy chłód nocy. Nogi prężą się mocniej — i pewniej wybijają stopy zmęczony rytm marszu.

Daleko — o kilometry wstecz czerwoną luną na niebie żyło miasto. Daleko przed nimi czerniał cel — świat.

Drzewa rozdarł powiew. I wtedy jak dziś zrzucił czapkę z głowy a nabrzmięło wiatrem wargi wyrzuciły okrzyk nito groźny — ni błagalny, brzmiały jak zapowiedź walki.

Świecie!

Obraz. — On nazywał się już wtedy młodzieńcem. Akompanjował na fortepianie — a ona (bo była i ona) śpiewała. Teraz z perspektywy lat wyglądało to dziwnie szablonowo ale wtedy...

Pamiętał jak perliły się tony. Jak zadał sobie pytanie — głupie pytanie smarkacza: czy to jest szczęście?

I powiedział jej — nie to nie on powiedział; słowa trwały w nim dawno — lecz teraz same wybiegły na usta — głupie — szczere słowa: — „kocham panią”.

A wtedy ona podeszła bliżej — położyła mu dłoń na włosach i powiedziała:

Pan jest dzieciak, panie Janku.

I teraz.

Przed nim daleko błyszczy luna nad miastem.

Cel — jest tuż — obok — czai się w gęstwinie i wychyla łeb z mroku. Ponury cel — zamiar.

Zerwał się z ławki. Dłoń gorączkowo zaczęła szukać w kieszeni, aż namacał dwudziestogroszówkę — ostatnią.

Wcisnął ją w rękę beznogiemu kalece, który wciąż grał „humoreskę” Dworzaka.

Długa ulica wsysała go w przeciwnym kierunku. Latarnie gwarzyły jaśniej aż z pomiędzy rozbiegłych domów wychynał blask i rozgwar. Miasto.

Idąc ulicami obmyślał ponuro jutrzejszą ostatnią walkę.

Determinacyjny skok w przestrzeń; na wynurzający się z mgły skrawek stałego lądu.

OKOŁO LAUREATA.

W obronie życia wolno zabić napastnika — mówi prawo. A w obronie artykułu przed atakami ze strony krytyków?

Szukałem odpowiedzi na to, aktualne dla mnie zagadnienie w etyce ks. Sieniatyckiego, lecz bezskutecznie.

Wobec tego rozstrzygam sprawę sam. W obronie „życia i dobrej sławy” mojego artykułu, zabiję napastnika! Lecz nie autora krytyki, tylko jego artykuł, który zagraża mi, jak ów miecz Damoklesa wiszący nad głową.

Ale zacznijmy od początku.

W ostatnim numerze „Szkolnych Czasów” pojawił się „długi artykuł zatytułowany” „Laureaci” (wyrazy w cudzysłowie z niego wyjęte), pióra kolegi M. Spiegła. „Inaczej mówiąc” jest on krytyką mojego, zamieszczonego w pierwszym numerze „Szkolnych Czasów” p. tyt. „Laureat nagrody Nobla”.

Laureat napadł na laureata! W dwudziestym wieku! W Europie! W białym dniu!

Ale stwierdziwszy fakt, należy go obszerniej i poważniej omówić. Bo to nietylko moja apologja, ale zarazem i redakcji, która, jak z krytyki wynika, nie powinna była czegoś podobnego wydrukować.

A więc do rzeczy.

Kolega Spiegel zarzuca mi, że w długim artykule podaję tylko życiorys Pirandella, z uwzględnieniem paru pozycji bibliograficznych, że podaję nieoryginalnie, że wreszcie „wywody czerpię z monografji Pawła Calabrò, ufając w jego autorytet”.

Zarzut ten jest całkowicie fałszywy (śmiem twierdzić) i pozbawiony podstaw. Ponieważ: a) ograniczyłem się do dwóch zaledwie dat z życia Pirandella, b) wywodów nie czerpię z żadnej mo-

nografji, poza szczegółami biograficznymi, oraz kilkoma cytatami przytoczonymi (w cudzysłowie) z dziełka Paola Calabrò p. t. „Profili di scrottori contemporanei”, co zresztą zaznaczyłem w tekście, c) wspomniane dziełko nie jest żadną monografią o Pirandellim, gdyż mu poświęca zaledwie trzy (dosłownie trzy!) strony.

A dalej! Autor krytyki zapytuje się: po co była ta praca? On uznaje znaczenie i wartość dzieł „zasłużonego Sycylijczyka”, ale „mamy przecież tylu własnych laureatów, zasługujących w pierwszym rzędzie na zapoznanie ich z młodzieżą”. To nie jest pozbawione pewnej dozy słuszności. Nawet dużej. Ale autor krytyki był zbyt jednostronny, zbyt powodował się uczuciem patryjotyzmu, bardzo pięknego, ale w tym wypadku nie na miejscu. Oto zapomniał o tej, tak pozornie błahiej, a jednak ważnej rzeczy, że gazeta, czy pismo ma dostarczać wiadomości z całego świata, a nie wyłącznie zajmować się własnym podwórkiem, że własne podwórko należy znać i bez mojego artykułu, oraz, że pomiędzy naszymi, o k r ę g o w y m i laureatami, a laureatem ś w i a t o w e j nagrody Nobla, jest bądź co bądź pewna różnica. Naszym nie ujmuję wcale zasług ale... dosyć tego!

Mimo, że nie jestem wcale przekonany argumentami kolegi-krytyka, kończę z nim razem: „nie chcę cytować. Zakrawałoby to już na złośliwość. A daleki jestem od tego. Jedyłą moją dewizą jest dobro i rozwój pisemka szkolnego”, oraz obrona raz zajętego stanowiska. Krytyki nie potępiam, ale krytyki rzeczowej.

p. s. Podaję fakty; osądzenie, kto ma słuszność, zostawiam czytelnikowi.

T. Ulewicz 357.

Feljeton prasowy.

Jeśli rzysz czytelniku z radości na widok tytułu powyższego, jeżeli wieszysz subtelny jad modnego dziś „objeżdżania się” nawzajem, to jesteś w błędzie. Znamienne aktualnem stało się dzisiaj krytykowanie, „krytyka krytyki”, krytyk a krytyka i t. d. Feljeton prasowy stał się ostatnio groźnem „narzędziem w rękach przeróżnych redaktorów”, właśnie na tem polu wylewających żółć na inne pisma. Coś jak broń obosieczna schowana we wnętrzościach eleganckiego „Watermana”.

Ja jednak uczynię co innego. Wyższym chcę

być nad spory tubylcze i na skrzydłach natchnienia redaktorskiego popłynę w świat... by spaść prosto na biurko zawałone stosem pism młodzieży, które na szczęście tym razem nie noszą wcale tytułu: „Kuznia Młodych”, „Świat dziewcząt”, „Halo tu my” czy inne „Szkolne Czasy”.

To coś, co można nazwać tylko „extraordinary” (słowniki w pogotowiu!), coś co narzuca się jakimś stylem odmiennym od pism naszych. Krótko mówiąc są to pisma młodzieży polskiej zagranicą.

I już mnie niema! Opuszczam własne podwór-

ko, gdzie żrą się z powodzeniem krytycy i laureaci, gdzie święci triumfy antykrytykowa kampanja i rodzima poezja.

Bujam w abstrakcji trzeźwego realizmu amerykańskich Jankesów, by pobawiwszy chwilę na Śląsku czeskim, uzupełnić ten zwarjowany trójkąt trzecim wierzchołkiem w Kurytybie („krajowcom” pragnę wyjaśnić, że leży „to” w Brazylii).

Przedemną leżą poukładane w artystycznym nieładzie czasopisma różnej maści, doręczone mi dzięki uprzejmości b. Redaktora nac. „Gazetki” kol. Jurkiewicza. Przez chwilę czuję się najprawdziwszym redaktorem w świecie, lecz wkrótce świadomość próżni w portmonetce przywołuje mnie do porządku.

„All right, caballeros, na zdar!”

Będę pisał, choć niektórzy woleliby, bym raz wkońcu pokruszył me wieczne pióro (jak kopję), no... i dał spokój.

Długie rzędy czarnych literek składają się w wyrazy napozór znane, aż do codzienności, ale tkwi w nich „coś”. Jakiś subtelny odcień obcości. Styl, poziom wszędzie różny, ale ów posmak zagraniczny przeważa. Może to specjalne nastawienie...

Pismo czeskie pochodzi z „Frysztatu”. Szata skromna. Z bezpretensjonalnych ram obok częstych zresztą artykułów na poziomie Płomyka (większość prenumeratorów, prócz gimnazjum w Karwinie, to szkoły powszechne) spotyka się coś, co zastanawia. Mocne głosy o zbliżeniu międzynarodowym, wykorzenieniu nienawiści. Patronują słowa prez. Masaryka zwrócone do ludu polskiego na Śląsku Czeskim: „Nie zapomnijcie nigdy swej mowy”. Atmosfera serdeczności i zbratania, która swą naiwnością daje przeraźliwy dysonans na tle dzisiejszych stosunków choćby w epoce rasizmu.

Ale tu niestety spadłem znowu na rodzime podwórko, jakim jest Europa, potłukłszy się boleśnie o aktualne zagadnienia. Wobec tego ulatniam się pośpiesznie, w puszcze Pampasów, kraj ljan, dzungli i t. p. Indjan.

Pismo brazylijskie wydaje związek tamtejszych nauczycieli szkół polskich. Mimo niezbyt wysokiego poziomu, jest ono jedynym dla młodzieży polskiej nie tylko w Brazylii, lecz i poza jej granicami. Zato piekielnie egzotyczne. (Zwolennikom tropikalnych ekstrawagancji polecam). Charakterystycznym jest nie tylko przywiązanie do Polski, ale znać przede wszystkim kulturalno-oświatową pracę polskiego nauczycielstwa. Nasuwają się reminiscencje z p. „Balcera”.

Lecz dość już o skromnych pismach walczącej z przeciwnościami Polonii. Tu nie pomogą moje elukubracje, lecz wasze... zainteresowanie.

Teraz proszę państwa biore... rozmach amerykański. Finiszuję z szybkością windy pędzącej na dach pięćdziesięcioletniego drapacza chmur. Przedemną leży organ imponującej swą nazwą i rozmiarami Organizacji porozumiewawczej central i federacji młodzieży na Stany Zjednoczone A. P. p. t. Echo Młodzieży. Coś, co może interesować. Pismo studentów i studentek t. zw. „high schools” czyli gimnazjów amerykańskich. Myślicie, feljetony, beletrystyka, awangardowe rozmazywanie się w poezji? (Zaznaczam, że do „tubylczych” poetów nie piję, ze względu na ich wybitne zdolności szermiercze).

Tu jest tempo! Tu niema czasu! „Time is money”, (o ile zwłaszcza napływa w dolarach).

Wre życie organizacyjne, skupiające się w klubach o charakterze kulturalno-sportowym. Przy każdym niemal gimnazjum istnieje klub młodzieży polskiej. Praca przeważnie nie tylko nad uświadomieniem narodowym, lecz i poznaniem kultury Polski.

Uderza styl zwięzły, polszczyzna, nieraz przypominająca żywcem tłumaczenie z angielskiego. Ale... ile tu woli i energii. W oczach powstają prowincjonalne oddziały Organizacji Młodzieży Polskiej, organizują się władze, nazwane dziwnie może dla nas „urzędnikami”.

Całe pismo składa się z komunikatów. Tu i ówdzie rzucony artykuł o sztuce, sporcie czy kulturze polskiej, w niczym nie przypomina „wodnistości”, która u nas wylewa się obficie z każdego łamu (patrz powyższy feljeton).

„Spare time and place” (oszczędzaj czasu i miejsca, isticie szkocka maksyma) powoduje, że ciężar gatunkowy tych krótkich zresztą artykułków, przeważałby z powodzeniem rodzime „bujania”.

„Przyszłość to my!”, powiadają nasi koledzy i koleżanki ze St. Zjedn., zwracając uwagę na każdy szczegół bieżącego życia. W związku z tem zaprowadzono nawet poradnik dobrego zachowania się, zwłaszcza w towarzystwie płci nadobnej.

Ale teraz „stop! finish”. Wylałem do cna czerń kałamarza, wysyłając ten prasowy zlepek w świat ciętego szyderstwa i zdradliwej ironji. Oby dobrze mu się wiodło!

Obserwator.

Dziś on, jutro ja!

(Fragment z powieści tegoż autora. Red.).

Lotnisko. Tłumy publiczności wypełniają szczerlnie plac odgradzony od reszty lotniska, linami. Wgórze na tle białych, szybko posuwających się obłoków, balansuje — niby wprawny zespół baletnic — trójka samolotów myśliwskich.

Na publiczności znać pewne zaniepokojenie, ale z nutą oczekiwania czegoś nowego, czegoś bardziej emocjonującego.

I rzeczywiście. Za chwilę ma nastąpić pokaz akrobacji, wykonanych przez znanego pilota wojkowego Jerzego Polaskiego. Sławę swą zawdzięcza on fenomenalnym wprost zdolnościom. Potrafił bowiem w przeciągu lat około sześciu osiągnąć rangę porucznika. Widzimy go właśnie, jak stoi obok swego aparatu, wdzierając płócienną kominarkę i okulary. Dwóch mechaników pomaga mu zapiąć spadochron. Maszyna jego to wygodny i szybki aparat konstrukcji inżyniera Puławskiego.

Mechanik, zapuściwszy motor przytrzymuje go na małych obrotach, zwiększając je kolejno.

Publiczność zniecierpliwiona kołysze się jak łan zboża, poruszany lekkim wiatrem.

Wreszcie start. Tuman kurzu opadają na zgromadzonych. Maszyna zadarłszy lekko ogon posuwa się chwilę po trawiastej równinie lotniska i nagle śmiało zaczyna podnosić się coraz wyżej, wyżej.

Tłumy zamarły w oczekiwaniu. Podświadomie budziła się w nich nadzieja ujżenia czegoś niespotykanego dotąd.

Pilot jakgdyby odczuwając to, starał się ażeby akrobacje wypadły jaknajlepiej. Podrywał maszynę śmiało zwrotami knypla do beczek, kółek, loopingów, skręcał ją śmiertelnymi zwojami korkociągów. Aparat posłuszny szedł wszędzie gdzie władca dłoń pilota go kierowała. W tym wypadku trzeba mieć tak zw. „ptasi instynkt“. Trzeba uważać aby wychylenie steru wysokościowego nie było większe od wychylenia steru kierunkowego. Dłonie pilota muszą pracować wspólnie z nogami spoczywającymi na orczyku.

Taki właśnie „ptasi instynkt“ posiadał Polaski. Jednak bywają wypadki, że bez winy pilota aparat spłata takiego figla, iż wprawa lotnika maleje do granic minimalnych.

Polaski najmniej może spodziewał się takiego wypadku. Oto na wysokości 800 metrów odebrała się z rozdzierającym zgrzytem prawa połowa skrzydła i poczęła chybotliwie opadać wdół. Momentalnie w hangarach wojskowych zrobił się ruch, gromady oficerów wyległy na pole i podniosły głowy obserwowały spadający samolot.

Czemuż nie skacze? Chyba nie zaplątał się w pasy! słysząc było z gorączką dawane pytania i odpowiedzi.

Aparat tymczasem z dzikim poszumem roztrzaskanych płócien zbliżał się ku ziemi, coraz niżej, niżej.

I wreszcie suchy trzask łamanych części samolotu. Ponurą ciszę, która naraz nastąpiła przerwał złowrogi sygnał karetki Pogotowia, która w szybkim tempie ruszyła na miejsce wypadku.

Jednak z wypadków tego rodzaju nie uchodzi się z życiem. W kabinie samolotu zbryzganej krwią, z rozbitą na połę głową leżał młody oficer. Umieszczono go na noszach i zakrywając rozbitą głowę kawałkiem białego płótna, poniesiono go wśród powszechnego milczenia do sanitarnego samochodu.

Podenerwowane tłumy opuszczały lotnisko; znać było na wszystkich przygnębienie.

Nic dziwnego Polaski był ogólnie lubiany jako zdolny oficer i jako bardzo dobry przyjaciel.

Nazajutrz ukazał się nekrolog.

†

Ś. P.

JERZY POLASKI

por. pilot.

zginął śmiercią lotnika.

„Zginął śmiercią lotnika“. Oto co może być dla każdego pilota najdroższym: Aby „zginąć śmiercią lotnika“. A w dwa dni później na kadłubie samolotu udawał się Polaski w swą ostatnią podróż na samolocie. Za trumną szła złamana bólem matka-wdowa. Ten Jurek był jedyną podporą jej starości. Jednak mimo tego ciosu jaki ją spotkał nie płakała. Utkwiło jej głęboko w duszy to co jej Jurek powiedział wstępując do pułku lotniczego: „A jeśli nie po laury, to lecim na maryl!“

Jerzy Juszczak.

Z konkursu.

Redakcja S. C. ogłosiła konkurs na najlepszą pracę o kryzysie.

Pozwalamy sobie przytoczyć nagrodzone utwory. Po stylu każdego z nich można łatwo poznać autora, dla lepszego jednak zorientowania się czytelnika podajemy nazwiska.

L. LIPSCHÜTZ.

On szedł. Twarze ludzkie waliły go w świadomość, jak pięciem roztrzepotanych różeg namoczonych w wodzie. On szedł. Serce rozdarło się na kawałki i posilkując się strzępami aorty biegło kulejąc za nim.

Grał paznokciami na zębach 48 sonatę cis moll. Przeszedł do adagio. Zachichotał szyderczo — i przerwał. Usiłował uderzyć górne cis — nie mógł. Serce biegło za nim i jak oszalałe waliło go po piętach. On szedł. Usiłował uderzyć górne cis — nie było zęba. Ha wprawić!

Przed oczyma głucho stukotały słowa: dentysta, złoto — złoto, dentysta.

Ha! rabunek — lombard, kasa. — Dziura po zębie wzdęta jak bania, wznosiła się ku niebu. Na niebie błyszczy 726 mgławica zbioru Andromedy. Serce chciało go złapać za łydke — szamotało się niesamowitością rozpryskaną. Ugryzł się w język — zęby drgnęły. On nie drgnął. Kryzys.

J. KATYNSKI (Jerzy K.).

Szli wolno wzdłuż A-B. On trzymał ją pod rękę, a mimo to z trudem utrzymywał równowagę ducha. Portfel naciskał na przepoń i wywoływał wrażenie lotu z szybkością światła w czwartym wymiarze lub skoku ze szczytu na spód tangensoidy. Patrzał na jej profil: na końcu jej nosa zwisiała maleńka kropelka. Drżał, wrzał, tętnił, warczał, jęczał, charczał i stukał w niej rytm światła, łamiąc się jak w pryzmacie migawkowymi błyskami reflektorów.

Zanurzył rękę w czyjaś kieszeń i dokonywał rozkosznej wiwisekcji. Szponiaste palce wzrosły do nieskończonych rozmiarów i wczepiły się w podszewkę.

Wyjął rękę. Była pusta — i na jego wargi wybiegło jedno słowo, brzmiące jak jęk, prośba — jak rozpaczliwy wrzask: Kryzys.

SCHNEEWEISS.

i Słowo?!!! kryzys i nędza sPlotłO sIę w jeDen kłAb rozżagwionych aktualnością myśli, które po

deptakach naszych dusz kierują sobie ekskluzywne drogi do najindifferentniejszych siedlisk mózgu.

Tak jest.

Uświadomiona błyskawicznie nieruchomość, w której szumią echa niezgłębionych światów, zrywa więzy autokrytycznego samoopanowania i wzrasta potencjonalnie wraz z współczynnikiem logarytmicznym żywo drgających wartości krwawiących kawałów naszych dusz.

Tak to powiedział T. Peiper w pamiętnym wywiadzie i to wlewał w niezgłębione czeluście mego umysłu, wywołując tam uczucie niezwyklej ulgi i rozprężenia. Jesliby kto myślał inaczej — myli się.

Tak nie jest.

LESNER.

Przyznać należy, że do tej kwestji dobierało się już wielu, bah, nawet bardzo wielu ludzi. Któżby bowiem nie zajmował się sprawą tak przypiekającą, (że tak powiem, bardzo przypiekającą), jaką jest kryzys.

To też dziwić się należy, że sprawa takowa znalazła tak dziwny oddźwięk w rozmaitych sferach i generacjach. Na zaimprovizowanym stole leży u mnie cały bałagan gazet, w których jest o tem mowa.

Momencik...

„Time is the nurse and breeder of all good“ — powiada, zresztą bardzo słusznie, przysłowie, co jak sobie pozwolę, bez najmniejszej zresztą chęci sekowania tego czasopisma, przytoczyć odnośnie do tych kilku suchotniczo prosperujących gazet, jak „Kurjerek“ itp.

Nie wiem, czy wielu jest z pomiędzy Was¹⁾, którzy posiadają ideały altruistyczne, ponieważ bezwzględnie przyciskająca większość dąży do zacieśnienia na sobie „węzłów snobizmu i miażdżącego egoizmu“.

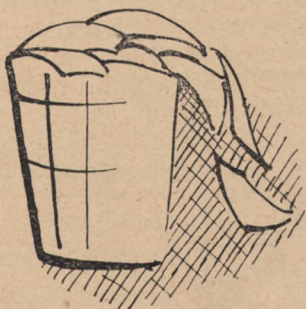
Bah, momencik... Pozwolimy sobie zrobić maleńką uwagę, że sekluzja podobnego uczucia... i t. d.

Niestety — redakcja nie wie, co zawiera dalszy ciąg tej rozprawy, ponieważ ma ona 5 m długości, a przy tych słowach redakcja zasypiała i sam recytator czytał to przez sen. Redakcja składa kole-dze Lesnerowi słowa pełne zachęty i uznania, bo widać w nim już dzisiaj doskonały materiał na posła.

Dyktował J. K. Przepisał S. S.

¹⁾ „W“ było napisane w oryginale na 5 cm, żeby zaznaczyć, że autor odnosi się do wszystkich z wielkim szacunkiem.

Kosz redakcyjny.



J. Juszczyk. Spóźnione. Do następnego numeru.

J. Porębski. Reszta w tece. Jesteście szóstym Jerzym piszącym do S. C. Może założymy klub? Zastanówcie się.

Pilka(?) Gm. VII. Żeby móc utwór ocenić, trzeba go móc przeczytać.

Moje obowiązki nie należą do najmiłszych. I ja który objeżdżałem innych muszę cierpieć. Cieszcie się wy, którzy w sercach krylicie zemstę. Spełniła się. Jest mi poprostu przykro.

Wzruszyła nas wszystkich śmierć Komendanta. Może to nawet mało powiedzieć — wzruszyła. Umarł nie Wódz państwa ale ktoś nam bliski i drogi — lecz to nie powód aby ci, którym dotąd nie śniło się o literaturze zaczęli pisać wiersze.

Są one — trzeba to przyznać — szlachetne w tendencji — opromienione żalem czy nawet bólem. Ale są tylko wierszami. Nie są poezją. I dlatego jest mi przykro. Przykro bo muszę rzeczy w których tkwi chęć nie wierszობstwa — ale chęć nadania swemu uczuciu konkretnych form — odrzucać. Są szablonowe — przepełnione frazesami — nonsensami — niektóre wprost odrażające. A wiem że pisaliście je z uczuciem i szczerze — jak nigdy.

Kolego Brzuszkiewicz, Dziędziuro, Jóźwiński i M. Nap.

Koleżanko San. gm. X Lubowska i K. C. 13. Oceniam Wasze chęci, więcej — podobają mi się — ale nie mogłem. Naprawdę nie mogłem.

Kolego Maurs. Proście o ocenę. To ładnie. Zwykle autorzy odnoszą się do mnie w listach — zgóry, nonszalancko — traktują mnie jako zło konieczne, a równocześnie boją się.

Z oceną będzie trudniej. Nie wiem czy daliście mi wiersze z różnych lat Waszej „twórczości“, czy to wina Waszego charakteru, dość że są bardzo nierównomierne. Niektóre rzeczywiście dobre — jeden idzie w numerze — ale niektóre

wprost straszne. Zdaje się, że poprostu siadacie i czekacie na inwencję — na temat. Od tematu zależy poziom wiersza. Nie chciałbym Wam zrobić przykrości — więc może pomówimy osobiście. Pierackiego 12 wtorki i piątki od 5.30—6.30. Dobrze?

Jedynym usprawiedliwieniem kolegi **M. R.**, gm. II jest wzmianka „kl. I“. Cóż, piszcie dalej; narazie poziom na „Szkolne Czasy“ za niski. Nawet na „Szkolne Czasy“.

Koleżanko Zosiu Krop. żal mi Was, więc umyślnie nie wymieniam całego nazwiska. Klasa podobno VII. Nie mówmy już o formie. To już nie Orzechowski — to Rej z Nagłowic. Ale jeśli spotkaliście człowieka, którego „z pośród szarego tłumu wyróżniają szlachetne myśli, które zawsze głosi“ (cytuję dosłownie) to lepiej będzie dla Was i dla niego, jeśli zerwiecie znajomość. On nie „nosi w sobie iskry bożej“ — nie „rozdmuchaj jej w przeolbrzymi pożar“ i „ciepłem serca nie ogrzeje“. Zasypie Was „popiołem gnuśności niemocy“ i będziecie „bez marzeń w ciemnej żyli nocy“. Jeśli po przeczytaniu tego będą Was „dręczyć uczucia niewypowiedziane“ i „strasznie w duszy jęczeć łzy niewypłakane“ zażyjcie kapsułkę weronalu. Ale z herbatą i wstrząśnąć przed użyciem.

Iks ypsylonie — z Waszej elukubracji tryskającej oburzeniem na stosunki wśród obecnej młodzieży wynika wiele rzeczy świadczących o Was b. brzydko. Nie wystarczy pisać „nie lubię podsłuchiwać“ jeżeli z artykułu wynika, że nie robiliście nic innego przez cały dzień, ot to pech prawda? Niestety z usług prywatnych detektywów nie korzystamy z zasady — chociaż — kto wie. Zgłosicie się na przyszły rok.

Nieznany **autorze anonimu.** Wysłuchaj mnie cierpliwie. Brak podpisu pod Waszym listem gwarantuje istotność moich słów. Będę mógł Wam odpowiedzieć bezosobowo — i tem obiektywniej. „Cóż będzie z młodzieżą, która już teraz puszcza się na szerokie wody pisma szkolnego“? Wołacie w świętem oburzeniu. Nie wiem **napewno** co z nią będzie. Mam wrażenie, że z wyjątkiem mnie ukamienianego przez zawiedzionych literatów, moi redakcyjni koledzy wyrobią się na porządnym ludzi. Dlaczego wróżycie koledze Kałamaczkiemu wielką przyszłość jeśli wystąpi z redakcji? Może będziecie go protegować? Uderzył Was jego „spizowy ton“. Chyba w „Widmowym ekspresie“ ale pociągi robi się z żelaza. Cios zaś któryście otrzymali, był, sądząc po skutkach, zadany czemś solidniejszym niż spiz — cięższem.

Piszecie że nowela „W śniegu“ w nrze 1-szym „świetna — wspaniała — bo pewnie pisał ją Kałamacki“. Niestety. Zmyliła Was identyczność naszych inicjałów. Za słowa uznania dziękuję, gdyż nowelę pisałem ja; Jerzy Katyński false Jerzy K. A zatem — wesołych wakacji.

Jerzy K.

Wydając ostatni tegoroczny numer czasopiśma „Szkolne Czasy“ przerywamy wydawanie na przeciąg dwóch miesięcy i życzymy wszystkim Czytelnikom(czkom) i Sympatykom(czkom) wesołych wakacji.

Następny numer wychodzi we wrześniu 1935 roku.

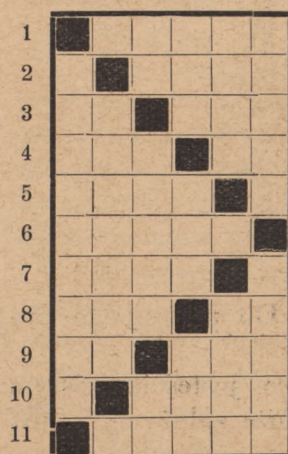
Korespondencję w czasie feryj prosimy nadsyłać pod adres: Kraków — ul. Pierackiego 12, lub Słoneczna 28 m. 3.

(Red.).

ŁAMIGŁÓWKA

(ul. Grzegorz Bukowiecki).

Wpisać poziomo 11 wyrazów o podanem znaczeniu. Litery w oznaczonych polach dadzą rozwiązanie.



1. postać z Trylogii Sienkiewicza
2. inaczej hałas.
3. imię męskie.
4. pora roku.
5. inaczej odwiedziny.
6. pozostają po ranach.
7. sprzęt wojenny.
8. inaczej powolny
9. imię męskie
10. członek rodziny
11. autor dramat. i publicysta polski z XIX w.

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Nagrodę za rozwiązanie szarady z nru 1-go otrzymała kol. Jabłońska gimn. X.

Rysunek wykonał T. Brzozowski.

Cena numeru 20 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Strona 50 zł. — Pół strony 30 zł. — Czwierć strony 20 zł.

WYDAWCA: Samorządy Gimn. krak. — KURATOR: P. Prof. Dr. T. Biliński. — REDAKCJA: Józef Lesner, Jerzy Katyński (kier literacki), J. Taborski (admin.), J. Kałamacki (sekreterjat). KOMITET REDAKCYJNY: Gimn. I: Mantel, Walaciński. Gimn. II: Kruczkowski, Sokołowski. Gimn. III: Juszczyk, Hołuj. Gimn. IV: Taborski, Zawadzki. Gimn. VI: Madeja. Gimn. żeńskie VII: Witwicka, Tomaszkiewiczówna. Gimn. VIII: Świerkosz, Zakrzewski. Gimn. IX: Nawala. Gimn. żeńskie X: Bilińska, Gumowska. Gimn. im. Król. Jadwigi: Roczniakówna, Dankówna. Gimn. im. Kaplińskiej: Piasecka, Wróblówna. Gimn. im. Kołłątaja: Wydro. Gimn. im. E. Plater: Birczyńska, Griffłówna. Gimn. im. Św. Urszuli: Zsolnay. Gimn. Jaworskiego: Olszewski. Gimn. II Rzeszów

Redakcja przyjmuje we wtorki i piątki od 5.30 do 6.30 ul. Pierackiego 12.

DRUKARNIA PRZEMYSŁOWA

WYKONUJE WSZELKIE
DZIEŁA, TABELI, AFI-
SZE, ULOTKI ZAPRO-
SZENIA ŚLUBNE it.d.
SZYBKO i TANIO
NA MASZYNACH
POŚPIESZNYCH.

Drukarnia Przemysłowa, Kraków, ul. J. Sarego 7. Telefon Nr. 105-10.

ZA DOBRE ŚWIADECTWO

sprezentujcie waszym chłopcom rower. — Polecamy nasz olbrzymi wybór rowerów krajowych i zagranicznych, balonowych i zwykłych, turystycznych męskich, damskich i dziecięcych. — Na życzenie udzielamy chętnie kredytu. — Na składzie wszelkie części do rowerów krajowych i zagranicznych oraz olbrzymi wybór opon i detek wszelkich wymiarów.

100 SZCZĘŚLIWYCH GODZIN WYPOCZYNKU!

nadeszły i są już u nas do nabycia po niskich cenach i na wyjątkowych dogodnych warunkach kredytowych, gdyż wpłacając tylko zł. 16.—, otrzymuje się pierwszorzędny patefon 2-sprężynowy najlepszej marki ze schowkiem na płyty oraz 12 płyt do wyboru, reszta płatna jest w 9 równych ratach po zł. 16.— miesięcznie. Pozatem dodajemy piękny album na 12 płyt i 200 igieł najlepszych darmo. — Własne warsztaty mechaniczne na miejscu. — Korzystajcie zatem z obecnej okazji i kupujcie dziś jeszcze aparat w największej firmie w Krakowie

THE KRISCHER

UL. FLORJAŃSKA 9.

PATEFONY MODEL 1935

THE KRISCHER, FLORJAŃSKA 9.

oddawca tego odcinka
otrzyma
10% rabatu.

Nie książki i zeszyty

lecz

kostjumy kąpielowe
sweatry, pullovery
pończochy jedwabne
szale jedwabne

na letnie wywczasy

poleca

A-B

L. Jasiński

KINO „UCIECHA”

Wyświetla w miesiącu czerwcu

wybrane najlepsze filmy:

POSZUKIWACZKI ZŁOTA

film rewjowy

30-DNIOWA KSIĘŻNICZKA

w roli głównej **SILVIA SIDNEY**

NASI CHŁOPCY MARYNARZE

z genialnym

JAMES'EM GAGNEY

KINO „PROMIEŃ”

film-reportaż

z pogrzebu Pierwszego
Marszałka Polski
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

MELODJE CYGAŃSKIE

z ulubieńcem

CHARLES BOYEREM
LORETTA YOUNG

42-GA ULICA

film rewjowy



Specjalny skład aparatów i przyborów fotograficznych



„FOTO-REKORD”

Kraków, ul. św. Tomasza I. 24 — Filja ul. Florjańska I. 37

poleca: aparaty, klisze, papiery i wszelkie inne przybory fotograficzne po cenach fabrycznych. Roboty amatorskie wykonujemy po cenach niskich w 24 godzinach. — Przyjmujemy aparaty do naprawy i przeglądania. Ciemnia dla amatorów i porady fachowe bezpłatnie.



JAKO NAGRODĘ



**ZA MATURE
LUB DOBRE ŚWIADECTWO**

kupują rodzice zegarki, sygnety, papierośnice, bransolety i t. p. najkorzystniej w solidnej firmie

JÓZEFA CYANKIEWICZA

KRAKÓW, UL. SŁAWKOWSKA 1.

GDZIE KUPIĆ KSIĄŻKĘ

SZKOLNĄ — POMOCNICZĄ NAUKOWĄ
z dziedziny popularyz. wiedzy przyrodniczej
oraz technicznej

PODRÓŻNICZĄ — SPORTOWĄ
lub dobrą lekturę na wywczasy **POEZJE** i t. d.

NAJLEPIEJ W NAJWIĘKSZEJ — NAJSTARSZEJ KSIĘGARNI

GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW, RYNEK GŁ. 23. TEL. 103-77.

KATALOGI, informacje, porady ZAWSZE BEZPŁATNIE.

PRZEDWSTYKSIEM zwracamy uwagę na świetną biblioteczkę „Polska i świat współczesny”
PIERWSZORZĘDNE TEMATY, WYBITNI AUTORZY.